

Świętosław Krawczyński

O funkcji obrońcy w okolicznościach nieco nieprawdopodobnych

Palestra 18/3(195), 80-89

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA

Zamieszczając w „Palestrze” nadesłane przez Świętosława Krawczyńskiego, adwokata i literata w jednej osobie, wielce interesujące wspomnienia z okresu tuż powojennego, zachęcamy Kolegów do nadsyłania podobnych „memuarów”, wzbogacających panoramę działalności zawodowej i pozazawodowej członków palestry w kraju i za granicą.

Redakcja

1.

ŚWIĘTOSŁAW KRAWCZYŃSKI

O funkcji obrońcy w okolicznościach nieco nieprawdopodobnych

Skrobie się w głowę: od czegoż by zacząć? Bo zamysł mój, żeby opisać okres, kiedy pełniłem funkcję obrońcy przed sądami Zarządu Wojskowego w amerykańskiej zonie Niemiec (1945—1946), wcale do łatwych w wykonaniu nie należy. Po pierwsze dlatego, że upływ czasu zaciera, przedstawia i odkształca w pamięci fakty, po drugie zaś dlatego, że okres ów różnił się wprost niewyobrażalnie od obecnej mej, kilkudziesięcioletniej stabilizacji w adwokaturze, a także od poprzedzającej go niewoli w stalagach Wehrmachtu. Prowizoryczność, przypadkowość, uleganie impulsom, niefrasobliwość, a pod nimi skowyt tęsknoty za krajem i najbliższymi — oto główne znamiona tej cezury pomiędzy czasem terroru i przymusu a czasem ładu i obowiązku. Jakżeż dobrać się do niej z mych dzisiejszych pozycji? Jeśli nawet, patrząc na fotografię smukłego młodzieńca w battle-dressie z naszywkami Polish Forces na rękawach, zastanawiam się: ja to, czy nie ja? Paskudnie się zmieniłem ... Eheu, fugaces labuntur anni — wzdycham w takich momentach lirycznie.

Lirycznie?! Dobrze, zaczynam od wzruszenia... Pamiętam bowiem, co czułem, krocząc pewnego poranka w maju 1945 w szyku zwartym kilku tysięcy byłych jeńców wojennych ulicami Northheim ze stacji kolejowej, gdzie wyładowano nas z transportu, do koszar, gdzie mieliśmy kwaterywać. Świtało właśnie — na niebie i we mnie — na zwiastowanie pięknych przeżyć, które otwierają już do mnie ponętne ramiona... Niebawem zamiast tych ramion w pustych i z lekka zdemolowanych koszarach o ar-

chitekturze warowni Raubritterów otwały się przed nami drzwi izb bez łózek, szaf, krzesel, za to z nadmiarem okrągłych stołów. Cóż było robić! Dopóki Brytyjczycy (bo Northeim leżało w strefie brytyjskiej) nie wydebieli od Niemców mebli i pościeli dla nas, spaliliśmy na tych stołach, zwinęci w kłębek. Apropozycja nam również nie dogadzała, więc wiara zaczęła sarkać i utyskiwać. Komendę obozu objął polski pułkownik, który wojnę „przekiblował” w Murnau podobnie jak my i który dążył do odtworzenia w nas i z nas wojska. Nie szło mu; mimo to jęły natychmiast jak grzyby po deszczu formować się przy komendaturze różne służby i drużby. Między innymi sekcja czy raczej komórka prawna, której przewodził kapitan Jasiński z warszawskiego AK. Doszłusowali do niego podchorążowie: Borowicz, Piotrowski i ja oraz jako kierowniczka kancelarii pani ze Lwowa, po kaciecie w Ravensbrück, imieniem Niusia czy Niunia — wszyscy magistrowie prawa.

Przystąpiliśmy ochoczo do urzędowania, chociaż ani pełnomocnictw, ani dyrektyw nie było. Nie święci jednak garnki lepią — jak mówi przysłowie. Przypominam sobie, że do prac naszego biura należały: 1) postępowanie przygotowawcze przeciwko jakiemuś typowi w mundurze chorążego, któremu uczestnicy powstania w Warszawie zarzucali kolaborację z Niemcami i który został pozbawiony wolności jakimś rozkazem komendantury obozu, 2) śledztwo w sprawie sanitariusza czy lekarza z kacetu, posadzonego o to, że mimo wiadomości o grożącej jego towarzyskom zagładzie z rąk specjalnego oddziału SS, gestapo lub żandarmerii (Vernichtungskommando) nie uprzedził ich o tym, wskutek czego oni zginęli od kul i pożaru, on zaś ocalał, bo przebywał na zewnątrz okalających lagier drutów, 3) interwencja u władz brytyjskich w sąsiednim mieście, by zwolnili spod *sui generis* sekwestru samochód osobowy, którym pewien Polak, były jeńiec w stopniu oficerskim, przyjechał w rejon gór Harcu bodaj z Linzu w Austrii. Chyba robiło się coś jeszcze w naszej sekcji, chyba zabiegał wokół czegoś tam kapitan Jasiński, odnoszący się do podwładnych jak stryj, a nie jak szef, ale — niestety — pamięć mnie tu zawodzi. Mniej zaś zawodzi mnie tam, gdzie działalność nasza spelzła na niczym — mianowicie w sprawach dopiero co wyliczonych. Kolaborant uciekł z piwnicy, w której trzymano go pod kluczem, zabierając przy okazji pojazd mechaniczny komendantury, sanitariusz, ocalały cudem od śmierci z rąk siepaczy, okazał się człowiekiem dzielnym i godnym szacunku, więc zaniechaliśmy czynności przeciw niemu, a panowie z Military Government w sąsiednim mieście ani słyszeć nie chcieli o wydaniu Polakowi wozu, który im się podobał. Toteż po kilku tygodniach ogarnęło nas wszystkich z biura rozgoryczenie, ponieważ uprzytomniliśmy sobie w kształcie jasnym, a nie dorozumianym jak dotychczas, że złudne i bezowocne są i muszą być nasze starania o uzyskanie jakiegokolwiek jurysdykcji w jakiegokolwiek dziedzinie władzy. Poczucie zawiśnięcia w powietrzu, by nie rzec — w próżni. Nikomu niepotrzebni, niepewni, nadrabiający miną.

Tym raźniej oddawaliśmy się przyjemnościom życia prywatnego. Zre-sztą wkrótce rozniosto nas po Europie: Borowicz przemknął się przez zieloną granicę do Polski, panią Nusię zabrał brat, oficer z korpusu gen. Maczka do Maczkowa, kapitan Jasiński wyruszył na jakąś dłuższą trasę turystyczną, ja zmówiłem się z niejakim Gorczycą na podróż do Włoch, kraju uroczego jak miraż. Odrazę moją do Northeim powiększył widok

spontanicznej fiesty, jaką przyjęto w obozie wiadomość o wybuchu pierwszej bomby atomowej. Głośniki ryczały marsze triumfu, tłum na dziedzińcu koszar tańczył, a mnie gnębiła coraz głębiej groza, jak gdyby apokaliptyczny anioł zagłady przeleciał nad światem. Co to będzie, co to będzie?! Jeśli od jednej bomby zginęło duże miasto?...

Nie dojechałem do Włoch. Przybywszy na przodku parowozu do Wetzlar w Hesji, utknąłem tam na długo. Przygarnęli mnie koledzy z komenderówki w Hofnungsthal: Antek Gębicki, Julek Kotulski, Maryś Kouba, Karol Piecuch, Edek Chylewski, Łodzio Budzyński, że wymienię najbliższych. Swoja wiara, wypróbowane w niewoli koleżeństwo, podchorążowie sprzed 1939 roku. W obozie Polaków, przeważnie byłych przymusowych robotników rolnych, sprawowali oni różne funkcje administracyjne z ramienia miejscowej UNNR-y i pod kierownictwem jej dyrektora, Charlesa Watkinsona, absolwenta Uniwersytetu w Cambridge i przyjaciela naszej nacji. Jeden z moich kolegów był komendantem całości obozu, obejmującego duże koszary po jednostce broni pancernej z garażami dla czołgów, drugi — komendantem ich części wschodniej, trzeci — zachodniej, czwarty — kwatermistrzem, piąty — komendantem polskiej policji porządkowej itp. Mnie z miejsca przeznaczyli na kierownika kina i teatru, do czego wtedy ciągnęło mnie bardziej niż do prawa, zwłaszcza po niepowodzeniach w Northheim. Wiedzieli, czym mnie kupić, jako że we wspomnianym wyżej Hofnungsthal zajmowałem się po amatorsku teatrzykiem jenieckim, a w szczególności stroną muzyczną przedstawień. Roiłem skrycie o sukcesach w tej dziedzinie sztuki.

Seanse filmowe w Wetzlar odbywały się często, ale po moim przybyciu rozkręciły się też inne imprezy kulturalne. Wystawiliśmy jasełka, 2 rewie, kilka koncertów. Piosenkę finałową z jednej z tych rewii pragnę tu przytoczyć, bo niezłe ilustruje emocje, jakie drażyły ogromne zbiorowisko ludzkie zagnieżdżone ciasno i rojnie w dwupiętrowych blokach i niskich garażach. Tułaczce nudzili się, przeważnie bez zajęcia, bez pieniędzy, bez celu. Do tego nawiązałem wyraźnie w tekście i w muzyce, skomponowanej na wzór przedwojennych fokstrotów z „Bandy” czy „Morskiego Oka”. Najpierw mały słowniczek do tekstu tej piosenki:

1) D.P. (czytaj: dipi) — skrót displaced person, czyli osoby bez miejsca (a więc wysiedlonej przymusowo lub w związku z wojną).

2) D.P.I. (czytaj: fonetycznie dipi Ian) — oznaczenie potoczne w Wetzlar obozu D.P. Center I, bo był tam także mniejszy D.P. Center II (czytaj: fonetycznie tu).

3) UNNRA (czytaj: unra) — skrót nazwy organizacji Narodów Zjednoczonych, która po wojnie opiekowała się dipisami.

A oto sama piosenka:

„Dipi, dipi, dipisienki,
takiś biedny, biedniusienki,
że aż UNNRA ci pomaga.
Da ci chleba, da ci soli,
Bimber pędzić też pozwoli
I da sody, kiedy zgaga.
A gdy człowiek się zamroczy,

Zaraz krwi komuś utoczy,
 No i znowu równowaga.
 Więc jakoś idzie
 Bida przy bidzie
 I trzeba śpiewać tak:

Refren: Niech żyje D.P.I.,
 Zmurszały, stary kram,
 Uprzykrzył się już nam,
 Lecz niechaj żyje!
 Każdemu humor skisł
 I nos na kwintę zwiśł,
 Niech żyje D.P.I.
 Na przekór nam!

Jak widać, Muza moja nawet w satyrze wybierała z przypadłości obywateli to, co przestępcze. W rzeczy samej nie było w Wetzlar pod tym względem aż tak źle, jak w piosence, a byłoby o wiele lepiej, gdyby nie nieróbstwo, do którego zmuszały warunki bytowania polskich tułaczy. Im bardziej się starzeję, tym chętniej ulegam przeświadczeniu osobistemu, że krzywa wyrażająca stosunek działań przestępczych gatunku *Homo sapiens* do ogółu jego działań przez wieki i przestrzenie przebiegałaby w wąskim przedziale pomiędzy bliskimi sobie ilościami. Może kiedyś komputery sprawdzą tę mglistą ideę. Ale to moja prywatna filozofia; czym prędzej ją rzucam, by wrócić do Wetzlar.

Powiatowe to miasto było siedzibą amerykańskiego Zarządu Wojskowego (Military Government). Do agend tej instytucji, ujednoczonej w głównych zarysach dla wszystkich trzech stref okupacyjnych Niemiec Zachodnich, należało też sądownictwo. Sprawowali je oficerowie bądź w formie nadzoru nad niemieckimi sądami i więzieniami, bądź w formie samoistnej — na przykład dla wyzwolonych spod jarzma faszystowskiego cudzoziemców. Mam jeszcze zachowany na pamiątkę podręcznik dla tych oficerów, których większość nie miała przecież kwalifikacji prawniczych, opublikowany przez kwaterę główną aliantów w języku angielskim. Niezbyt gruba to książka, raptem 240 stron, ale jakże treściwa. Zawiera ona podstawowe przepisy i instrukcje, dotyczące celów polityki okupacyjnej aliantów, denazyfikacji niemieckiego aparatu wymiaru sprawiedliwości, ustroju sądów, prawa karnego, więziennictwa, jak również wzory oficjalnych pism (po angielsku i po niemiecku) itp. Nie miejsce tu na jej streszczenie, warto jednak podać parę cech znamienych dla tego typu wojennej legislacji.

Zarządzenie Nr 1 obejmuje prawo materialne stosowane w sądach Military Government trzech zachodnioniemieckich stref okupacyjnych. Składa się ono z 8 artykułów, przy czym 2 z nich stanowią katalog zbrodni i przestępstw (w 43 punktach), 20 z nich to zbrodnie zagrożone karą śmierci lub „taką inną karą, jaką Sąd Zarządu Wojskowego jest władny nałożyć” (od szpiegostwa — przez atak zbrojny na Siły Zjednoczone, sabotaż, kradzież majątku Sił Zjednoczonych — do jakiegokolwiek pogwałcenia praw wojny lub aktu pomocy dla nieprzyjaciela albo zagrożenia bezpieczeństwa Sił Zjednoczonych), pozostałe zaś to

przestępstwa, za które kara śmierci nie grozi, natomiast grożą wszelkiego rodzaju inne kary prawem dopuszczalne (wśród nich — nieposłuszeństwo zarządzeniom Zarządu Wojskowego, jeśli w zarządzeniu tym nie ma sankcji karnej, włóczenie się bez przepustki po godzinie policyjnej, fałszowanie pieniędzy okupacyjnych, przekupstwo itp.). Blankietowość szeregu tych przepisów jest wyraźna. Zacytuję w tym miejscu *in extenso* artykuł VI pt. „Obrony”:

1. Dobrą obroną przeciwko któremukolwiek z wymienionych tu zarzutów będzie obrona, że czyn zarzucany był aktem legalnego prowadzenia wojny przez osobę uprawnioną do posiadania statusu kombatanta.

2. Nie będzie obroną przeciwko któremukolwiek z wymienionych tu zarzutów obrona, że czyn zarzucany został popełniony na rozkaz jakiegokolwiek cywilnego czy wojskowego zwierzchnika albo na rozkaz jakiegokolwiek osoby występującej jako funkcjonariusz lub członek NSDAP albo że przestępstwo zostało dokonane pod przymusem.”

Bardzo charakterystyczne to postanowienia, ponieważ uznają priorytet zasad zgodnego z prawem wojny prowadzenia działań wojennych przed zasadami wyłożonymi w przepisach Zarządu Wojskowego i czynią bezowocnymi wszelkie powoływania się na rozkaz przełożonych czy na przymus (obojętne, w jakiej by występował formie).

Zarządzenie Nr 2 zawiera procedurę karną ujętą w 9 artykułach, a uzupełnione jest przez znacznie obszerniejsze reguły postępowania przed sądami Zarządu Wojskowego. Ustanowione zostały 3 rodzaje tych sądów: Główne, Średnie i Zwykłe (General, Intermediate, Summary Military Courts). Nie oznacza to jednak instancyjności systemu. Różnice między kategoriami sądów polegają bowiem na tym, że Główne mogą orzec wszelkie kary przewidziane prawem z karą śmierci łącznie, Średnie — kary nie wyższe niż 10 lat więzienia i 10 000 dolarów grzywny, Zwykłe zaś — kary nie wyższe niż rok więzienia i 1000 dolarów grzywny. Jeżeli zatem sąd niższego rzędu dojdzie do przekonania, że za przestępstwo rozpatrywane powinno się orzec karę wyższą niż dopuszczalna przez prawo, to prześle sprawę do sądu wyższego stopnia. Przewidziano również postępowanie rewizyjne od wyroków, jakie zapadły, ale tylko na piśmie i w trybie niejawnym. Oskarżony może unieść rewizję pisemną w ciągu 10 dni od wyroku. Gdyby to jednak uczynił niepoważnie (*frivolous*), władza rewizyjna może karę podwyższyć. Nie ma mowy w przepisach o rewizji oskarżyciela publicznego. Natomiast bliżej nie określona władza rewizyjna (*Reviewing Authority*) może działać z inicjatywy własnej w trybie nadzoru w celu złagodzenia wyroku lub jego uchylecia i przekazania sprawy do ponownego rozpoznania. Nie może natomiast zmienić wyroku uniewinniającego na wyrok skazujący.

Procedura ta wzoruje się na procedurze anglosaskiej, co uwidacznia się przede wszystkim w przykładaniu szczególnej wagi do tego, czy oskarżony przyznał się do winy na rozprawie, czy też nie (*plea of guilty or not guilty*). Formalizowano to, jeżeli sąd *Military Government* rozpoznawał sprawę obywateli amerykańskich lub angielskich. Jeżeli więc będąc oskarżonymi chcieli przedstawić przebieg zajścia, mogli tego dokonać tylko jako świadkowie pod przysięgą. Obywateli innych państw przesłuchiowano podobnie jak u nas, nie pouczając ich jednak o prawie odmowy składania wyjaśnień. Obowiązywał pisemny akt oskarżenia (*charge sheet*),

który doręczano zwykle tuż przed rozprawą, bo co do terminu doręczenia nie było żadnych przepisów. W tej sytuacji obrońcy, udając się do aresztu na rozmowę z oskarżonym, podawali mu treść zarzutów po uprzednim przejrzeniu akt sprawy w sekretariacie. Udział obrońcy był konieczny tylko przed Sądem Głównym, kiedy w grę wchodziła ewentualność kary śmierci. W takich wypadkach mianowano obrońcą oficera USA o pełnych kwalifikacjach adwokackich czy prokuratorskich (tam funkcje te są wymienne). W normalnym postępowaniu czynność oskarżyciela publicznego czy obrońcy mógł pełnić każdy, kogo sąd uznał za odpowiedniego. Procesów z oskarżenia prywatnego w ogóle to prawo nie przewidywało.

Otóż ja właśnie jako prawnik, przed wojną aplikant adwokacki, później sądowy w Kielcach, mówiący językiem angielskim na bardzo przeciętnym poziomie, zostałem upoważniony do pełnienia funkcji obrońcy przez Mr Watkinsona i polski zarząd obozu D.P.I. w Wetzlar, co zostało zaaprobowane przez oficerów z Military Government. Objąłem tę funkcję po Leonku Więckowskim, który z niej zrezygnował, o ile pamiętam, z powodu wyjazdu z Wetzlar. Lubo geodeta po politechnice warszawskiej, wywiązywał się on ze swych obowiązków dzielnie. Na jego korzyść muszę podnieść, że władał angielszczyzną bieglej ode mnie, co przecież w praktyce miało duże znaczenie, jakkolwiek w każdym procesie brał zazwyczaj udział także oficjalny tłumacz.

Jednosobowe posiedzenia Summary Military Government Court w Wetzlar odbywały się w zasadzie co tydzień. Tryb postępowania był podobny do naszego trybu uproszczonego. Tak przynajmniej to sobie wyobrażam, nie bez podejrzeń jednak, że teraźniejszość nakłada się na przeszłość. Zastrachany oskarżony przyznawał się przeważnie do winy. Jakżeż miał się nie przyznać, skoro przed kilku dniami schwytano go koło dworca kolejowego z kawałkiem mięsa, osetką masła lub jakimś innym corpus delicti pod pazuchą, a nadto żandarm z M.P. czy policjant niemiecki stał obok niego, gotów do złożenia obciążających zeznań?

Bo tak wyglądały najczęściej procesy polskich dipisów, którzy nągminnie uprawiali handel pokątny. W okresie powojennej biedy w Niemczech Zachodnich prawie wszystkie produkty żywnościowe zaliczono do towarów reglamentowanych, co oczywiście wpływało ożywczo na różne formy obrotu na tak zwanym czarnym rynku (blackmarket). Byli niewolnicy Trzeciej Rzeszy dość szybko zostali zepchnięci z pozycji uprzywilejowanych, jakie zajęli tuż po wyzwoleniu, na ubocze, jeśli nie wręcz margines życia społecznego. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, przypisując przemiany w ustosunkowaniu się Amerykanów do nas między innymi wpływowi ładnych i sprytnych Niemek, które szukały z nimi kontaktów. Z początku było to surowo zakazane, obowiązywała bowiem zasada: No fraternization! (nie bratać się! — ciekawe, dlaczego nie wynaleziono lepszego określenia dla zetknięć i związków damsko-męskich), ale po kilku miesiącach zakaz ten został z głośnym aplauzem obu stron zniesiony. Gdy pytałem znajomych oficerów, dlaczego zadają się tak chętnie z Niemkami, odpowiadali mniej więcej tak:

— Widzisz, swoich kobiet tu nie mamy. A wasze unikają nas. To co byś ty sam innego wymyślił?

Rzecz jasna, szło o kontakty nie tylko towarzyskie. Polskie dziewczęta bowiem, choć nie stroniły od miłości, wołały Polaków, dążąc zresztą z reguły do małżeństwa. Ślubów zawarto w Wetzlar mnóstwo, zarówno religijnych w obozowej kaplicy, jak i cywilnych w miejscowym urzędzie stanu cywilnego. Niektórym z naszych bardzo się nie podobało to, że urzędnik wypowiada rytualne formuły w zniechęconym przez nas języku, po czym kończy obrządek speech'em o czekającej nowożeńców żegludze po wezbranych morzu życia w tej samej łodzi aż do śmierci. Gdyby przemawiał po polsku, pewnie by się nie zżymali. Po uroczystości przeciągał ulicami Wetzlar pochód, zatrzymując się po drodze na postój w jakimś zakładzie fotograficznym, których było po drodze sporo. O ile mnie pamięć nie zawodzi, właściciel jednego z nich przyozdobił okno wystawowe oleodrukiem z Kościuszką czy może sceną śmierci księcia Józefa w nurtach Elstery. Zakład ten cieszył się największą frekwencją naszych dipisów.

Odbiegłem od tematu? Chyba nie. Jako że poradnictwo prawne należało również do mych obowiązków. Ponadto przydarzyło mi się brać udział w ceremonii zaślubin pewnego aresztanta, w którego obronie występowałem.

Wracając do spraw karnych, godzi się zaznaczyć, że orzecznictwo sądów Military Government, mimo srogich sankcji przewidzianych w zarządzeniu Nr 1, nie było surowe. Wprawdzie wobec dipisów nie stosowano ani grzywnien, ani warunkowego zawieszenia kary, ale wymiar pozbawienia wolności oscylował w granicach od kilku tygodni do kilku miesięcy za niedozwolony handel, drobne kradzieże, lekkie pobicia itp. Nielegalne posiadanie broni miało swoją zwyczajową stawkę — jeden rok. Przypominam sobie, że taką samą karę wymierzono np. za kradzież świni z włamaniem do chlewu. Być może, oddziało w tym wypadku na sędziego ograniczenie ustawowe sądów najniższych. W wojsku bywa, że przetożony, karząc dyscyplinarnie, postępuje w myśl odruchu:

— Co mam, to dam, i nie zawracajcie mi, moi mili, więcej tym głowy!

Sprawy o rozbój były rozpatrywane w Intermediate Courts, które orzekały w kompletach trzyosobowych. Bronilem tam kilkakrotnie, wyjeżdżając nawet do sąsiednich powiatów, jeżeli nie dysponowały one obrońcą polskim na własnym terenie. Z reguły wymiar kary w takich procesach opiewał na dwa, trzy lata pozbawienia wolności, a bywało, że i na dłużej. Raz natomiast pojawili się w Wetzlar oficerowie sztabowi, zdaje się z Wiesbaden, by sądzić pewnego młodzika, rodem spod Lwowa czy Tarnopola, za bandytyzm i zabójstwo policjanta na służbie. Okazało się, że był to General Court. Ale ciarki przebiegały mi po skórze, gdy moje stałe miejsce przed oskarżonym objął jakiś nie znany mi major, ponieważ odczułem to jako prawdopodobieństwo orzeczenia kary śmierci. Owszem, major był świetnym adwokatem, bronił z tą swoistą, agresywną swadą, jaką w filmach amerykańskich przejawiają obrońcy, nie odmieniło to jednak losów oskarżonego. Zapewne przesądzono je w dużej mierze już wcześniej. Po jakimś czasie młodzik zakończył swój żywot na szubienicy zgodnie z anglosaską formułą wyroków, wedle której sąd poleca, by skazaniec „był powieszony za szyję, póki nie umrze” (to be hanged by neck untill dead).

Stereotypową obroną stosowaną powszechnie przez polskich obrońców było naklanianie oskarżonych, żeby zgłosili sądowi zamiar wyjazdu do kraju. Na mocy bowiem porozumień międzynarodowych wysyłano ich po wyroku — jeżeli chcieli — najbliższym transportem repatriacyjnym do ojczyzny, i to bez względu na wymiar kary. Praktycznie, już podczas podróży koleją odzyskiwali wolność, a na dworcu w Dziedzicach traktowano ich przez nasze władze tak samo jak innych powracających do domu rodaków. Taką trasę przebył również po skazaniu go na rok pozbawienia wolności ów młody człowiek, przy którego ślubie za specjalnym indultem kapitana C., szefa Military Government w Wetzlar, asystowałem. Wyprosiła to jego dziewczyna, będąca w zaawansowanej ciąży. Po uroczystości w urzędzie stanu cywilnego, na którą więźnia doprowadzono pod eskortą, kapitan natychmiast polecił wydać mu przepustkę na noc poślubną, uzyskawszy w zamian od niego słowo honoru, że stawi się osobiście nazajutrz rano w budynku Military Government. I Polak dotrzymał słowa! Jak kapitan później mi się zwierzał, udzielił panu młodemu urlopu pragnąc, by ten znikł gdzie pieprz rośnie. Niestety, honor byłego partyzanta okazał się mocniejszy od pokus i okazji.

Kapitan C. rzadko pełnił funkcje sędziowskie, powierzając je młodemu oficerom. Wolał wykonywać nadzór nad policją, więzieniem, magistratem, kierownictwem UNNR-y i w ogóle nad całością administracji w powiecie. Zaangażował się osobiście tylko bodaj w ściganiu dipisa, którego znano szeroko pod pseudonimami „Partyzant” i „Balon”. Nazwiska jego nie ustalono, co przysparzało mu glorii w obozie. O tym chłopcu krążyły legendy. Tu dodam, że wokół jego osoby osnuł jedną ze swych znakomitych opowieści o tych fantasmagorycznych latach pisarz Stanisław Zieliński, który o Wetzlar wtedy przypadkiem się otarł. Niemcy wymordowali podobno całą rodzinę „Balona” i spalili jego domostwo. Było to gdzieś na Mazowszu. Gdy ujrzał zgliszcza i zwłoki, poprzysiągł pomstę. Postanowił własnoręcznie zabić 50 Niemców. Jak utrzymywali później Amerykanie, do wypełnienia przysięgi zabrakło mu tylko jednego Niemca. Gorszą stroną tego wszystkiego było to, że przy tym „Balonie” skupili się amatorzy rabunku i wykorzystywali jego represyjną działalność do uprawiania swego procederu.

Kapitan C. nie mógł na to patrzeć przez palce, szczególnie po zamachu na jednego z amerykańskich oficerów. Strzelano do niego w nocy przez szybę z ogrodu, który okalał jego mieszkanie. Zamach się nie udał, podejście padło na ludzi „Balona”, jakkolwiek wiadomo było, że unikają za targów ze sprzymierzeńcami. Military Government przystąpiło do akcji represyjnej na terenie obozu D.P.I. Kapitan C. ustalił najpierw dokładnie, gdzie „Balon” najchętniej spędza noce, po czym wybrał się z kilkoma żandarmami z M.P., aby go aresztować z nienacka, podczas snu. Podjechałszy pod blok C Zachód (o ile pamiętam), poszedł prosto na pierwsze piętro do pokoju, w którym spał „Balon”. Ledwie zabłyśło w nim światło, „Balon” zerwał się z łóżka, skoczył na równe nogi. W przykrótkiej koszuli wyglądał jakoś nieprawdziwie, tym bardziej że miał ciemne włosy, gdy tymczasem na fotografii znajdującej się w albumie kapitana C. był blondynem. Toteż kapitan zawahał się na chwilę. Opuściwszy pistolet, ujął w dwa palce czuprynę chłopca i zapytał:

— You „Balon”?

Po polsku brzmiałoby to dłużej: czy ty jesteś „Balon”? Ale i ten moment niewagi kapitana umożliwił chłopcu ucieczkę przez okno i skok z piętra na asfalt koszarowej ulicy. Już dokładnie sobie nie przypominam, czy okno było otwarte czy też nie, chociaż wydaje mi się, że „Balon” dał szczupaka ciemieniem w szybę... Natychmiastowe poszukiwania M.P.-istów spelzły na niczym, zbieg wyparował jak kamfora. Zaarrestowani natomiast zostali: dziewczyna, z którą „Balon” spał na jednym łóżku, oraz para kochanków z drugiego łóżka. Obok tej dziewczyny znaleziono pistolet uciekiniera.

Wiadomości te uzyskałem głównie od niej, a także z akt sprawy karnej, którą jej wytoczono. Zarzucano jej, że: 1) posiadała nielegalnie pistolet, znaleziony przy niej w pościeli, 2) udzieliła pomocy w ucieczce osoby poszukiwanej przez Zjednoczone Siły Zbrojne. Uznano ją za winną obu tych przestępstw i skazano łącznie na 1 rok pozbawienia wolności. Wniosłem rewizję, która, jak żadna inna z moich ówczesnych rewizji, okazała się skuteczna. Zgodziwszy się z moim stanowiskiem, że pistolet należał do „Balona”, a dziewczyna nawet nie dotknęła tej broni, oraz że „Balon” zbiegł bez niczyjej pomocy, Reviewing Authority zaocznie uniewinniła ową oskarżoną. Co z nią się później stało, nie pamiętam — chyba wyjechała do Polski.

Mieszkałem w owym czasie poza obrębem obozu, w domku jednorodzinnym dentysty, który pracował w ambulatorium obsługującym Polaków. Pewnego ranka o świcie obudził mnie szum samolotu. Podchodzę do okna, patrzę: jednopłatowiec zatacza kręgi nad obozem. Widać też kilka czołgów na drogach. Ubieram się szybko, pędzę ku furtce w siatce otaczającej posesję dentysty, by iść do obozu, gdzie — jak sądziłem — mogę być potrzebny. Zatrzymuje mnie wartownik uzbrojony, mówi, że na razie nie wolno mi się nigdzie oddalać ze swego mieszkania. Dopiero koło godziny 9 udałem się do D.P.I. Tam już było wtedy po gruntownym przetrząśnięciu wszystkich pomieszczeń w budynkach i po przeszukaniu wszystkich mieszkań. Dokonali tego dzieła żołnierze w sile około batalionu wojsk zmotoryzowanych. Rozstrzaskano ileś tam bimbrowni, zatrzymano iluś tam posiadaczy dolarów, których skupiono w kącie boiska sportowego. Ale te rezultaty razii (bo tak określono technicznie tę operację) były jeno akcydentalne. Osiągnięto je jakby mimochodem, obok celu głównego, który wypełniono z wojskową konsekwencją. Schwytani bowiem zostali komilitoni „Balona” z nim samym na czele. Dwu z nich (może trzech?) przywiązano do przodków czołgów. Z rozkrzyżowanymi ramionami stali w słońcu, w kurzu, w opuszczeniu. Spod rozchełstanych koszul wyzierały owinięte dookoła szyi różańce.

Czy wszyscy jego podwładni znaleźli się owego dnia w więzieniu? Nie przypominam sobie. W każdym razie rozpoczęło się długie i żmudne śledztwo. Trudno mi tu zreferować jego wyniki, ponieważ w ciągu kilku miesięcy zlikwidowano polski obóz w Wetzlar, przyspieszając wysyłkę jego mieszkańców do ojczyzny. Niewielu z nas pozostało w Niemczech.

Od tych kolegów, co wrócili później ode mnie do kraju, dowiedziałem się z grubsza o losach „Balona”. Jeśli to nie legenda, to ułożyły się one wręcz sensacyjnie. Mściwość jego zastynęła tak bardzo, że zainteresował się nim podobno jakiś producent filmowy z Hollywood. Zaprzagnął nakręcić o nim film obrazujący terror niemiecki w Polsce, a później —

odwet chłopca w Niemczech. A ponieważ „Balon” był przystojny i zwinny, producent postanowił właśnie jemu powierzyć główną rolę. W tym celu wydobył go z więzienia. Niestety, w czasie podróży statkiem przez Atlantyk „Balon” zmarł na zapalenie płuc.

Jakkolwiek brzmi to nieprawdopodobnie, podaję powyższą wersję, gdyż stanowi ona stosowniejszy finał historii o niezwykłym mścicielu niż jakiś surowy wyrok.

2.

HENRYK NOWOGRÓDZKI

Śmierć obrońcy

Książki o umieraniu zrobiły ostatnio i robią karierę.

Na krótko przed śmiercią mec. Krzysztofa Łada-Bieńkowskiego zastanawialiśmy się nad wspólną problematyką adwokacką i lekarską. Czy wolno mówić choremu o oczekującym go kresie, o oczekiwaniu na śmierć, czy wolno mówić prawdę oczekującemu skazania, a więc oczekującemu na lata wyłączenia z życia, które to wyłączenie Mecenas przyrównywał do umierania?

Była to nasza ostatnia rozmowa.

Książki o śmierci. Znikły z półek księgarskich książki prof. Kielanowskiego traktujące o przemijaniu (nie pamiętam dobrze tytułu, a nie mogę sprawdzić, bo pożyczyłem młodemu koledze i jeszcze mi nie oddał) i nieżyjącego prof. dra Antoniego Kępińskiego, autora nieporównywalnego i odkrywczego — wśród innych tytułów — „Rytmu życia”. W „Rytmie życia” jest także o śmierci. Za późno, aby włączyć się do dyskusji wywołanej napaścią (bo inaczej tego nazwać nie można) młodej dziennikarki, która brutalnie i w sposób świadczący o zupełnej ignorancji oraz — niestety — o bezuczuciowości pisała o pracy prof. Kępińskiego, pracy podjętej nadludzkim wysiłkiem woli i bez przenośni na łożu śmierci. Uwagę przykuła książka pięciu autorów: Arnolda Togubee'go, A. Keitha Manta, Niuser Smart, Johna Hintona i Simona Yudkina pt. „Człowiek wobec śmierci”. We wszystkich tych książkach jedno jest wspólne: dążenie do godnego umierania, do przejścia z godnością przez ten nieuchronny, jakże ciężki próg.

Nieomal pośród czytania tych książek przyszło stanąć wobec śmierci drugiego człowieka. Zmarł w Warszawie znakomity adwokat, człowiek dużego formatu, mecenas Krzysztof Łada-Bieńkowski. Był adwokatem sumiennym i rzetelnym. To jeszcze nic, choć tak dużo. Był żarliwym obrońcą, dostrzegającym wnikliwie mechanikę powstawania przestępstwa i przestępcy. Chcę napisać, że był humanistą, bo był nim istotnie. W pełnym znaczeniu tego słowa, którego przez nadmierne używanie można pozbawić zawartego w nim sensu i pełnej treści. Pracował nad aktami w skupieniu, przedzierając się przez karty dokumentów i protokołów, aby od-